



# ZYGMUNT JABŁOŃSKI (1920–1985)

**Janusz MARCHWIŃSKI (Kraków)**

Naprawdę szczerze żałuję, że nie ma we mnie ani krzyny pierwiastka transcendentnego. Nie jestem nawet romantyczny, a od wszelkiej wzniosłości i uduchowienia dostaję mdłości. Wielka to szkoda, bo gdybym pierwiastek transcendentny posiadał, ułatwiłoby mi to znacznie życie. Szczególnie w aspekcie trwałej obecności w nim Zygmunta Jabłońskiego. Nie potrafię wytłumaczyć fenomenu duchowej więzi z Zygmuntem, czy raczej Zygmusiem, jak sam o sobie mówił. Był moim kolegą, lubiliśmy się, było nawet między nami coś na kształt przyjaźni. Zdystansowanej co prawda, bo był starszy ode mnie o całe 28 lat, a przy takiej różnicy wieku o kumpłowaniu się raczej nie ma mowy. Poza tym, co tu gadać, Zygmunt Jabłoński miał zyciorys jak z przygodowego filmu. A ja? Wtedy?

Pomimo wszystko powinienem być ostrzeżony, kiedy na monachijskim cmentarzu zebraliśmy się, by go pożegnać. W odległym kącie Nordfriedhof zgromadziła się cała redakcja Rozgłośni Polskiej RWE. Olek Menhard opowiadał, że na łożu śmierci Zygmunt wyglądał jak stary szlachciura z portretów trumiennych. W tym spotkaniu z wiecznością przypominał swoich bohaterskich przodków, Jabłońskich herbu Jasieńczyk. Jaś Tyszkiewicz dorzucił, że teraz pewnie będzie nas nawiedzał zza grobu. Wykrakał. Zbliżała się kulminacja uroczystości pogrzebowych. Powszechnie lubiany przez wierzących i heretyków, ksiądz Jerzy Galiński zakończył modlitwy. Umilkły rozmowy, bo oto miejsce przy grobie zajął pisarz Tadeusz Nowakowski, znany z wielkiego kunsztu oratorskiego. Nabrał powietrza i niczym ksiądz Kamiński nad trumną Wołodyjowskiego krzyknął wielkim głosem: „Zygmuncie! Przyjacielu! Opuściłeś nas i los okrutny kazał ci spocząć w obcej ziemi! Rozdzieliły nas wody czarnej rzeki Lety”. Zamarłem i dreszcz przeszedł mi po plecach. Niekoniecznie ze zdumienia, wiedząc przecież, że obaj panowie za życia nie bardzo się lubili.

Pamiętam pogrzeb Zygmunta Jabłońskiego w najdrobniejszym detalu, bo odtąd już się prawie z Zygmuntem nie rozstawałem. Niedługo potem miałem wieczorny dyżur w redakcji. I choć nie mam pojęcia po co, zaszedłem do jego dawnego pokoju i usiadłem przy biurku. Nagle poczułem coś naprawdę bardzo dziwnego, niewytłumaczalnego: czyjaś fizyczną obecność w pustym pomieszczeniu, uczucie bardzo podobne do tego, kiedy ktoś się intensywnie w nas wpatruje za plecami, a instynkt nakazuje, by się

odwrócić. Sensacji tych doświadczałem potem jeszcze wiele razy, aż zrozumiałem, że z nieznanymi mi powodów Zygmunt wybrał mnie na swego powiernika w doczesności. Staralem się wywiązać z tego zadania na miarę moich niewielkich możliwości i nikłego talentu. Jeszcze w Monachium podpisałem z Hildegardą, wdową po Zygmuncie, stosowny kontrakt, przekazujący mi prawa do sztuk teatralnych Zygmunta Jabłońskiego. Przetłumaczyłem je na język niemiecki i wysłałem do wszelkich możliwych teatrów. Nic z tego co prawda nie wyszło, ale nie poddałem się. Od tej pory zorganizowałem trzy wieczory literackie, poświęcone jego twórczości i udratyzowane czytanie sztuki *Sprawa butów*. Przede wszystkim zaś upamiętniłem Zygmunta w autorskim spektaklu *Tu Wolna Europa* na deskach Teatru Nowego w Krakowie w 2014 roku. Mam nadzieję, że to oto wspomnienie ureguluje wreszcie nasze rachunki.

Dalekowzroczność mojego dawnego szefa, Jana Nowaka-Jeziorańskiego sprawiła, że wspominając Zygmunta Jabłońskiego, nie muszę jego życiorysu mozolnie składać ze strzępków w całość. Pewnego dnia bowiem Nowak, który był człowiekiem nad wyraz praktycznym, kazał nam wszystkim napisać własne nekrologi. „Oszczędzi to pracy w redakcji” — powiedział. Miał świętą rację. Czego się więc dowiadujemy, czytając życiorys Zygmunta?

Urodził się w roku 1920 w Wojkutanach na Litwie. Nie pierwszy on w swej rodzinie związał się z pisarstwem. Jego babka, Stefania, była pisarką litewską, tłumaczką Sienkiewicza i Mickiewicza, a uznana przez Litwinów za poetkę narodową, została uczczona pomnikiem, który po dziś dzień zdobi Kowno. Inny krewny, Henryk Jabłoński (nie mylić z byłym komunistycznym przewodniczącym Rady Państwa) ułożył pierwszy słownik języka litewskiego, dając mu przez to rangę literacką. Brat Zygmunta, Zbigniew, odznaczał się wielce obiecującym talentem literackim. Niestety zginął młodo, rozstrzelany przez Niemców we Francji w 1941 roku za udział w ruchu podziemnym. Ci związani z Litwą Jabłońscy, jak tyle innych rodzin, pochodzących z tych ziem, stawali zawsze wiernie w obronie Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Dział Zygmunta zginął w Powstaniu Styczniowym. Ojciec, oficer służby stałej Wojska Polskiego, zginął pod Wilnem podczas ubiegłej wojny. Stryj Jan zginął w Katyniu. Stryj Roman w Powstaniu Warszawskim, kuzyn Bogdan Pod Monte Casino, a brata matki Zygmunta, adwokata Mieczysława Rudzińskiego, Niemcy rozstrzelali w Warszawie. Tylko Zygmunt Jabłoński w latach swej niezmiernie burzliwej wojennej młodości mijał się ze śmiercią. Wybuch wojny zastał go w Nowym Jorku, dokąd udał się transatlantykem „Piłsudski” na zwiedzenie międzynarodowej wystawy. Statek „Piłsudski” pośpiesznie wracał do Europy, ale droga do Polski była już odcięta. Jabłoński zaciągnął się na ten statek jako członek jego załogi, lecz „Piłsudski” zatonął, trafiony torpedą niemiecką u wybrzeży angielskich. Była to pierwsza opresja, z której Jabłoński wyszedł cało. Było ich dużo więcej. Przez pół roku pływał jako chłopak okrętowy na starym handlowcu „Wigry”. Następnie zaciągnął się do Wojska Polskiego we Francji i w szeregach 1 Dywizji Grenadierów Wielkopolskich brał udział w walkach w Wogezach. Po rozbiciu frontu przez Niemców trafił do niewoli. W obozie jenieckim spędził przeszło rok, po czym uciekł do Francji nieokupowanej i usiłował przedostać się przez Hiszpanię do Wielkiej Brytanii. Gdy to się nie udało, zaciągnął się do Legii Cudzoziemskiej i w jej szeregach, już po stronie sprzymierzeńców zachodnich, wziął udział w kampanii afrykańskiej. Po zdobyciu Tunisu zdezerterował z Legii i przez Gibraltar przedostał do Wielkiej Brytanii. Tam zaciągnął się do Polskiej Marynarki Wojennej. Najpierw pływał na krążowniku „Conrad”, a potem na ścigaczach jako telegrafista. Mawiał, że było to jego pierwsze doświadczenie radiowe, szczególnie gdy przez mikrofon zwoływał załogę na posiłki. Po zakończeniu wojny studiował prawo w Oxfor-

dzie i ekonomię w Londynie. Wykształcenie nie dało mu jednak chleba w życiu emigracyjnym w Wielkiej Brytanii, toteż miał się różnych mniej lub więcej osobliwych zajęć zarobkowych. Był kelnerem, barmanem, robotnikiem portowym. Równocześnie obracał się w kołach dziennikarskich, literackich i teatralnych. Był to najbardziej płodny okres w jego dotychczasowym życiu literackim. Debiutował wierszami w londyńskim tygodniku „Wiadomości” w roku 1948. Nakładem Veritasu w Londynie ukazał się tomik poezji Zygmunta Jabłońskiego pod tytułem *Kwadrygi w niebo*. Drugą wydaną jego książką była powieść pod tytułem *Tchórz*. Następnym okresem to dramaturgia. Jabłoński napisał po angielsku siedem sztuk teatralnych. Trzy z nich wystawiły teatry londyńskie, a następnie teatry polskie w Anglii. Sukcesem były też recenzje w takich pismach jak „Times”, „Daily Telegraph” i „The Stage”. Po tym udanym romansie z Melpomeną, Jabłoński wrócił do prozy i wydał zbiór opowiadań pod tytułem *Nad rzeką Amen niedaleko Prawdy i inne kłamstwa*. Został laureatem siedmiu nagród literackich. Niemal od samego początku istnienia polskich rozgłośni radiowych na Zachodzie, pracował jako dziennikarz, najpierw w Głosie Ameryki, a potem w RWE. Był niezwykle wszechstronny — prowadził audycje muzyczne, literackie, polityczne, pisał słuchowiska, robił świetne reportaże podróżnicze. O swoich radiowych początkach opowiedział zresztą w wydanej pod koniec życia książce pt. *Gabinet figur radiowych*.

Ale najwięcej opowieści usłyszeć można było przy stoliku w radiowej kantine. O tym, jak w 1941 roku uciekł z niemieckiego obozu jenieckiego po przegranej przez Francję kampanii w Wogezach. Mówił, że miał pecha do czternastki: „Byłem czternaście dni na froncie i czternaście miesięcy w niewoli. Za jeden dzień frontu, jeden miesiąc niewoli”. Z oficjalnego życiorysu (czyli nekrologu) wiemy, że Jabłoński koniecznie chciał dostać się do Wielkiej Brytanii, a były tylko dwie drogi — przez Hiszpanię i przez Afrykę. „Wybrałem Afrykę, dostałem się do Oranu. Ale tam okradziono mnie. Kompletnie. Zostałem bez grosza. No i pozostała Legia Cudzoziemskiej”. A potem dodawał, że „nie trzeba było pić tyle wina w podejrzanym towarzystwie”. Ten pobyt w Legii był chyba najbarwniejszym epizodem jego życia. Można wierzyć albo nie, ale to właśnie Zygmunt Jabłoński wywołał wojnę na froncie tunezyjskim. A było tak:

W Legii nie było właściwie nic do roboty. Oprócz służby policyjnej na Saharze. Odbywały się poza tym jakieś manewry. No i żeby nie wyjść z formy — marsze. Pięćdziesiąt kilometrów w jedną stronę i pięćdziesiąt w drugą. Z pełnym rynsztunkiem. Jak się wracało do koszar, człowiek nie mógł wejść na pierwsze piętro. Odpoczywał na każdym stopniu. Ja byłem zawsze bardziej zmęczony od kolegów dzięki Stalinowi. Bo przez pierwszy rok w Legii byłem mulnikiem. Miałem pod opieką muła. Niezwykły był to muł. Nazywał się Stalin. Na dodatek to była klacz. Każdy muł, tak jak każdy legionista miał swoją specjalną funkcję. Stalin od lat nosił na swoim grzbiecie karabin maszynowy na specjalnej uprzęży, coś w rodzaju siodła z zaczepami. Z jednej strony lufę karabinu, a z drugiej trójnożną podstawę. Stalin znał wagę tego ładunku co do miligrama. W czasie manewrów, kiedy zmęczony, spocony powiesiłem aby sobie ulżyć swój karabin ręczny, Stalin podnosił momentalnie jedno opadnięte ucho, potem drugie i stawał. Nie pomagały napędzania, groźby, nie pomagał bat. Stalin stał jak mur. Ale jak tylko zrezygnowany jego uporem zdejmowałem karabin z grzbietu, opadało mu najpierw jedno ucho, potem drugie ucho i ruszał. Potem wyładowali w Afryce Północnej Amerykanie i poszliśmy na front. Armia amerykańska wraz z francuską armią kolonialną wkroczyły do Tunezji od strony zachodniej. Od wschodniej Anglicy a od południa generał Leclerc ze swoją armią. Doszliśmy na linię frontową i zluźowaliśmy oddziały spahisów. Front przez dłuższy czas był zupełnie nieruchomy.

Tu Zygmunt robił znaczącą pauzę i kontynuował:

A wojnę na froncie tunezyjskim rozpocząłem ja. Pierwszy strzał padł z mojego karabinu. I pierwsza ofiara tego frontu również. Zabiłem świnie. Byłem wtedy przydzielony do plutonu aprowizacyjnego którego zadaniem było dostarczanie prowiantu z bazy oddległej o czterdzieści kilometrów ta linią frontową. Jeździliśmy nocą, a rankiem przyjeżdżaliśmy do naszych pozycji i rozładowywaliśmy ciężarówkę. Tego historycznego dnia przywieźliśmy tuzin żywych świń. Jedna z nich przy wyładunku wyrwała się nam i pognęła po szosie w kierunku pozycji niemieckich. Byłem odpowiedzialny za transport więc w te pędy pognąłem za nią. Po obu stronach szosy był las. Ta świnia biegła zyg-zakiem, od jednego brzegu szosy do drugiego jak dobrze w sztuce wojennej wyćwiczony żołnierz. A ja zdyszany za nią i w tym myśliwskim ferworze zapomniałem o pozycjach niemieckich. W pewnej chwili świnia wbiegła na wzgórek i stanęła. Na tle ciemnego lasu i jaśniejącego nieba stanowiła doskonały cel. Zdjąłem karabin, wycelowałem i strzeliłem. Świnia padła. Strzał mój spowodował nagłą strzelaninę. Zza wzgórza wychylił się patrol niemiecki złożony z trzech żołnierzy. Biegli jak nieprzytomni szosą w kierunku naszych pozycji. Minęli mnie, bo leżałem w rowie. Z lasu wybiegł mój kolega Tomcio, też Polak. Na jego widok Niemcy rzucili broń i podnieśli ręce do góry. Jak to zobaczyłem, to wyszedłem z rowu. Odprowadziliśmy Niemców na odcinek naszej kompanii. Potem wróciliśmy po świnie. Ale już jej nie było. Niemcy ją zabrali. Tomcio i ja dostaliśmy za ten wyczyn Croix de guerre. Tomcio awansował na kaprala a ja na sierżanta.

Wiele lat później, już po powrocie do Polski, oglądałem znany film *Jak rozpętałem Drugą Wojnę Światową*. I byłem szczerze zdumiony, odnajdując w tym filmie tę właśnie, opowiedzianą przy stoliku w kantine RWE przez Zygmunta Jabłońskiego, opowieść. Jak się tam znalazła? Nie mam pojęcia. Film wszedł na ekrany w 1969 roku. Autorem scenariusza i reżyserem był Tadeusz Chmielewski, w czasie wojny żołnierz AK. Nie mógł się więc żadną miarą zetknąć z Jabłońskim i jego opowieściami. A jednak filmowy Franciszek Dolas opowiedział fragment zyciorysu Zygmunta.

Przed przejściem na emeryturę, Jabłoński postanowił kupić sobie domek we Włoszech nad jeziorem Garda. Była to stara, chłopska chata, położona wysoko w górach, dokąd dojeżdżało się wąską i stromą drogą. Z jednej strony była niebotyczna skała, z drugiej otwierała się przepaść. To miejsce pasowało do niego jak ulał. Niestety. Nie cieszył się nim długo. Zmarł (chyba) w 1987 roku na złośliwy nowotwór. Ale nadal żyje. We mnie.